

Tegoż dnia „Franceska“ grana była poraz drugi. Dzienniki doniosły nazajutrz w swych sprawozdaniach teatralnych, że wykonano ją wybornie, a słuchacze przyjmowali sztukę z większym jeszcze zapalem i uznaniem, niż na premierze.

W czasie przedstawienia rozniosła się wieść, że młody autor pięknej tragedii zmarł nagle. Jedni utrzymywali, że gdy wychodził z teatru, zabity został przez rywala; inni twierdzili, że pozbawiono go życia złośliwą trucizną indyjską. Nikomu jednak nie była znana istotna prawda.

W miarę, jak Klara, scena po scenie, z głębokiem przejęciem się dramatycznością roli, uwydatniała coraz subtelniej i coraz wspanialej zalety utworu, entuzjazm publiczności wzrastał, zapewniając sztuce sukces nadzwyczajny.

Wówczas ja klęczałem przy łóżu mego zamordowanego przyjaciela...

Upłynął tydzień.

Spotkałem Klarę na cmentarzu, przy grobie Tomasza.

Widzieliśmy się wprzód — jak już opowiedziałem — przy łóżu konającego Toma, a w czasie jego pogrzebu rozmawialiśmy nawet z sobą, ciążył jednak nad naszą rozmową pewien przymus. Ja, wyobrażałem sobie poniekąd, że byłem sprawcą nieszczęśliwego zgonu mego druha, a Klara wołała nie zgłębiać tajemniczej przyczyny mego smutku.

Sądowa decyzja o krwawym fakcie brzmiała, jak następuje: „morderstwo, dokonane przez nieznanego zabójcę“. Policja prowadziła dalsze śledztwo na zasadzie informacji, przezemnie udzielonych. Wszystkie dzienniki podały kradzież, jako główny powód mordu, opierając swoje twierdzenie na tem, że należący do Tomasza łańcuch od zegarka zniknął w czasie napadu. Ja jeden tylko wiedziałem na pewno, dlaczego Colliver wyrwał mu go z kieszonki od kamizelki i — względnie do rozpaczliwego położenia, w jakim się znajdowałem — pocieszałem się myślą, że zbrodniarz musi być mocno rozczerowany, gdy się uważnie przyjrzał zdobytemu łupowi. Opisałem policji, jak mogłem najszczegółowiej, tak twarz, jak i całą postawę mordercy, zwracając nawet baczenie na identyczność jego z majtkiem, Giorgio Rudofani, poszukiwanym oddawna. Zapewniono mnie, że łotr schwytany będzie wkrótce. O tem wszystkim, co wyżej, publiczność jednak nie wiedziała. Jedyńm zaś rezultatem zbrodni, ogłoszonej w dziennikach, było spełnienie sali teatru Kolloseum na każdym przedstawieniu sztuki zmarłego.

Gdy popołudniu wszedłem na cmentarz, tonący w zmroku wieczoru, ujrzałem przy świeżej mogile postać kobiety czarno ubranej, a gdy się zbliżyłem, poznałem w niej Klarę. Parę minut staliśmy naprzeciw siebie, milcząc oboje.

Na grobie leżał wieniec z nieśmiertelników.

Myślą dziękowałem mojej ukochanej za ten dowód pamięci o Tomaszu, przemówić jednak nie mogłem. Zdawało mi się, jakby widok rozdzielającej nas mogiły, zamykał nam usta.

O! gdybym mógł odgadnąć prawdę, byłbym się dowiedział, że pod wzniesieniem z darni, liczyć mogącem zaledwie pięć do sześciu stóp długości i paru szerokości, rozciągała się niewidzialna, nieznana mi, nawet przezemnie niepodjęrzwana przepaść, której już nie przejdziemy razem. Między mną a Klarą leżał trup przyjaciela... i nie tylko jego niestety, lecz również wielu innych nieboszczyków, których nieme i martwe usta przeklinały miłość naszą!

Klara podniosła głowę nareszcie i przemówiła.

— Kasprze, zawiniłam względem ciebie bardzo. Zaledwie śmiem prosić cię o przebaczenie. Za późno już błagać o nie zmarłego, lecz gdyby mógł mnie teraz usłyszeć, zakłętałbym go na wszystko, co miał największego, aby mi przebaczył szaleństwo, które do tak okrutnej doprowadziło pomyłki.

— Nie mogłaś wiedzieć przecie... Niepodobiestwem było odgadnąć...

— Prawda, lecz fakt nie przestał przez to być bolesnym. Ciebie zaś oszukałam. Czy zdołasz mi przebaczyć?

— Przebaczyć! Co przebaczyć? Ach, Klaro! do prawdy nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć!

— Wprawdzie chwilowo posiadam to, co ludzie zowią sławą, lecz cóż to znaczy? Oszukałam cię jednakże. Wierz mi przecie, że nie powiedziałam czem jestem, tylko z myślą sprawienia ci w danej chwili większej niespodzianki. Chciałam następnie... lecz już było zapóźno! Bądź jednak przekonany, że nie miałam innego zamiaru, ani innego pragnienia. Mój plan wydał mi się z początku bardzo niewinny i nie grożący żadnem niebezpieczeństwem ani tobie, ani mnie, dopiero po upływie pewnego czasu zaczęłam o tem wątpić. Lecz aż do dnia, gdy tam, nad brzegiem rzeki, zacząłeś o nim mówić ze mną, niczego się nie domyślałam. Ochl! chciej mi wierzyć, nie domyślałam się niczego!

— Najdroższa moja, nie oskarżaj się, proszę. Cierpię bardzo, gdy słyszę cię mówiącą w ten sposób. Jeśli ktokolwiek z nas był winien, to chyba ja jedynie, lecz usprawiedliwiam się w przekonaniu własnem, myśląc, że oślepiło mnie przeznaczenie.



Ujrzałem przy świeżej mogile postać kobiety czarno ubranej.

Gdybyś tak dobrze, jak ja, znała Tomasza, wiedziałabyś niezawodnie, że słuchając nas, przebaczyłby nam obojgu. Lecz Klaro, co ja ci mam przebaczyć?

Nie odpowiedziała mi natychmiast. Na twarzy jej malowało się pomieszenie, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia, czego wyznać nie ma odwagi.

— Kasprze, zawiniłam czemś bardziej wobec ciebie... a jeśli możesz, pragnęłabym, abyś mi przebaczył...

— Ależ moja ukochana...

— Czy przypominasz sobie, o co cię pytałam, gdy po raz pierwszy mówiliśmy o nim?

— Zadałaś mi, o ile pamiętam, wprost śmieszne pytanie: czy mógłbym kiedykolwiek przestać cię kochać?

— To nie było śmieszne pytanie. Zastanawiałam się nad niem poważnie, a gdyś mi odpowiedział, uwierzyłam i oddałam ci się sercem całem. Czy czujesz, że jesteś równie dobrze usposobiony, jak wówczas? Chciej mi wierzyć, że nie lekkomyślnie pytam cię o to.

— Odpowiem, jak odpowiedziałem już raz poprzednio: miłość jest tak mocną, jak śmierć. Najdroższa moja, zbadz się przykrych, udęrczających cię myśli i bądź pewną, że cię kocham więcej od życia.

— Może jednak oburzyłbyś się, gdybyś się przekonał, że... Och, Kasprze, mówić nie mogę!

— Powiedz, powiedz wszystko, Klaro!

— Wiesz odemnie, że się zowią Klara. Czy jednak nie zdziwiło cię, gdy się dowiedziałeś, że mam drugie imię i drugie nazwisko, Klaryssy Lambert?

— Więc o to chodzi! — zawołałem. — Mówię ci szczerze, że nie zdziwiłem się wcale, wiem bowiem oddawna, że aktorki przybierają bardzo często pseudonimy, pod którymi występują na scenie. Cieszyłem się tem nawet, bo nazwisko twoje nieznane ogółowi, stawało mi się tem droższem, o ile mnie tylko było znane. Wszyscy wielbią Klaryssę Lambert, lecz ja jeden kocham Klarę Lutwell i wiem, że jestem przez Klarę Lutwell kochany.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnęła dalej, a pomieszenie, malujące się jej w oczach, wzrastało ciągle. — Och! nie możesz zdać sobie sprawy, jaką mi przykreść sprawia wyznanie całej prawdy!... Mówiąc z tobą wówczas, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, nie troszczyłam się o nic, bo nie przypuszczałam, że się mną zajmiesz. Nawet, gdy cię przedstawiałam matce, nie śniło mi się jeszcze, abyś mógł mnie pokochać i pragnął pojąć za żonę, więc bez zastanowienia powiedziałam ci, że się zowią Lutwell...

— Lutwell zatem nie jest nazwiskiem twojej matki? — zapytałem z niepokojem.

— Tak wszyscy ją zowią teraz w małym, najbliższem nawet otoczeniu... mnie zaś Klarą. W rzeczy samej, jest to jedno z moich imion chrzestnych. Lecz mam inne... i powinna-bym ci je powiedzieć...

— Najdroższa, poznałem cię jako Klarę i jako Klarę kochać będę zawsze. Co mnie obchodzić może, że znaną jesteś powszechnie pod przybranem nazwiskiem? Mam przecie nadzieję, że wkrótce zmienisz je na moje...

Słowa, wyrzeczone przezemnie z głębokiem przekonaniem, nie rozpogodziły jednakże jej oczu.

— Nie nazywam się Lambert. Lambert to tylko moje teatralne miano... lecz nie nazywam się również Lutwell. Jest to bardzo smutna historia, którą muszę ci opowiedzieć nareszcie i położyć koniec nieporozumieniu, które mnie zabija. Oddawna uczynić to chciałam, lecz ostatecznie czekałam na wieczór, w którym miałeś mnie ujrzeć na scenie. Pragnęłam naraz wyznać ci wszystko, co mnie dotyczy, nie wiedząc, że on... Okoliczności złożyły się tak fatalnie, że nie mogłam, nie zdołałam... Kasprze ukochany, wiem, że ulitujesz się nad moją biedną mateczką, chociaż mimowolnie w błąd cię wprowadziła. Była taka nieszczęśliwa i tak bardzo mnie kochała! Sam osądzisz, gdy ci wszystko opowiem. Nosi nazwisko Lutwell, żeby uniknąć prześladowań, żeby wyrwać się z pod władzy człowieka, który jest...

— Nędznikiem. Nie wątpię o tem.

— Nędznikiem, tak... a może czemś gorszem! Jest jej mężem, lecz nie moim ojcem... jest jej drugim mężem. Mój ojciec umarł, gdy byłem jeszcze dzieckiem, ona zaś powtórnie wyszła za mąż. W związku z nim czuła się ciągle najnieszczęśliwszą. Przypominam sobie doskonale bolesny wyraz jej twarzy, gdy poznała niegodziwy charakter tego człowieka. Lata całe cierpiała... bawiliśmy bowiem wówczas zagranicą... Nie mogąc wreszcie znieść dłuższej srogiej męczarni, uciekła, powróciła wraz ze mną do Anglii. Przypuszczam... nie jestem jednak tego pewną... że mąż jej nie śmiał natychmiast udać się za nią, tu bowiem prawdopodobnie popełnił jakąś zbrodnię. Domyślałam się, że tak być musi, nie ośmielałam się jednak pytać mamy o szczerze wyjaśnienie mi prawdy. Raz tylko jeden to uczyniłam... i nie zapomnę nigdy strasznego przerażenia, jakie odmalowało się nagle w jej oczach. Więc podejrzuwam, że jakiś bardzo ważny powód, nie pozwala mu wrócić do ojczyzny... Pamiętam, że zupełnie niespodzianie wyruszyliśmy w drogę do Anglii, prawie natychmiast po pewnym wieczorze, w ciągu którego mama się przekonała, że została niecnie oszukaną...

(Ciąg dalszy nastąpi).